№ 65

ROZMAITOŚCI
Warszawskie.

NIEDZIELA 16 SIERPNIA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

ODPOCZYNEK WĘDROWNIKA.

WIECZÓR W RZYMIE.

(Dokończenie.)

To dało powód Margrabi de M*** do udzielenia nam szczegułów o swoich stosunkach z Panią de Stael. Szczeguły te zasługują na wzmiankę.

Znajdując się w Genewie i wiedząc o związkach, jakie łączyły sławną autorkę z jego krewnym, Księciem de M***, Margrabia miał sobie za powinność ją odwiedzić; prosił więc jednego mieszkańca Genewy, iżby go przedstawił, i dobry Szwajcar skwapliwem przyjęciem dowiódł, ile mu to pochlebiało, iż będzie towarzyszył tak wielkiemu panu. Nazajutrz puścili się w drogę do Coppet, i Pani de Stael z największemi względami przyjęła krewnego Księcia M***. Jako biegła gospodyni, chciała natychmiast podać Margrabi zręczność wynurzenia entuzyjazmu, do którego jej miłość własna w podobnych razach była nawykła. »Winnam, — rzekła, — wiele wdzięczności mojej *Korynnie*, która zapewne natchnęła WPanu myśl pocieszenia mnie, biednej wygnanki, w mojem ustroniu.« — »Bynajmniej, — rzekł Margrabia, — nigdy nie czytałem *Korynny*, i co więcej jeszcze Panią dziwi, nigdy czytać nie będę, owszem życzyłbym, iżby nikt jej nie czytał. O ileż-to mniej błędów i nieporządku byłoby w ludzkiem społeczeństwie, jeżeliby ten rodzaj literatury, niszczący wszelkie zdrowe zasady, nigdy nie był postał!«

Autorka *Korynny*, bardziej obrażona niż zmieszana, mniemała zapewne dać surową lekcyję Margrabi, gdy odpowiedziała: »Zagrzebywać w sobie dary Stwórcy nie jestże to przeciwić się jego woli? Są dobrodziejstwa, których nie możemy bez niewdzięczności zostawić w uśpieniu, i osobie, obdarzonej wielką imaginacyją, równie nie godzi się jej w sobie tłumić, jak WPanu, któryś się urodził Margrabią de M***, nie podobna nie być rycerzem walecznym, zalotnym i grzecznym dla kobiet.«

»Porównanie nigdy nie jest bez wady, — odpowiedział Margrabia; — i Pani właśnie dałaś tego dowód; jakkolwiek bowiem winienem dziękować za pochlebne memu imieniowi wyrazy, muszę zrobić uwagę, że nie w mojej było mocy urodzić się kim innym, jak Margrabią de M***, kiedy przeciwnie ci, którzy tylko cierpią pisarską świerzbiączkę, nie są bynajmniej obowiązani do jej zaspokajania.«

Rozmowa w tym tonie trwała około pół godziny, i Margrabia położył jej koniec, mówiąc do Pani de Stael: »Żebym jednak Pani dowiódł, że nie jesteśmy nieprzyjaciołmi, poproszę o szklankę wody i na pożegnanie wypiję ją za Pani zdrowie.« Po tym skromnym posiłku ukłonił się i wyszedł.

Poczciwy Szwajcar, spetryfikowany tą nadzwyczajną sceną, machinalnie wsiadł do pojazdu i nie prędzej odzyskał mowę, aż kiedy się znalazł w obwodzie najuczeńszego z miast, Genewy.

Panna Adela de M*** starała się wynurzyć swe myśli, mówiąc nam o swym ojcu, o jego sposobie życia, pracach, z tą głęboką czułością, którą i po śmierci dla niego zachowała. Cnoty Hrabini de M*** nie potrzebują piękniejszego panegiryku, nad to stałe przywiązanie rodziny i przyjaciół.

Hrabina R*** należała do ostatnich, dla tego też przyłączyła się do Panny Adeli i Pani de M***, a potem naturalnym porządkiem myśli oddawszy hołd religijnemu genijuszowi prawdziwego filozofa, przeszła do bolesnego wspomnienia błędów ostatniego wieku.

»We własnej mojej rodzinie miałam, — rzekła, — dziwny przykład jednego z tych rokoszów ludzkiej pychy, za którym, szczęście, nastąpiło świetne upamiętanie się: jest-to historyja właśnie do zakończenia wieczoru.« Prosiliśmy wszyscy, iżby nam ją opowiedziała.

»Jeden z moich przodków, Książę L***, przezwany *Salomonem*, znalazłszy się na szczycie wszystkiego, czego człowiek pożądać może, wpadł w okropne obiąkanie i zaprzeczył bezczelnie bytności Boga i duszy, ażeby tem swobodniej wylać się na rozkosze, któremi był otoczony; a chcąc upowszechnić to bezrozumne odkrycie, jął na tem założeniu pisać obszerny traktat, nad którym pilnie pracował.«

»Dnia jednego, znużony pisaniem, uczuł potrzebę przechadzki. Wyszedł do parku, długo chodził po samotnych alejach, aż zatopiony w myślach, od których uciec nie mógł, posunął swą przechadzkę dalej niż zwykle. Tak błądząc bez celu, napotyka starą wieśniaczkę, która ładowała wóz suchemi liściami i gałęziami rozrzuconemi po parku.«

— Co tu robisz?

— Daruj, mój dobry Panie; zbieram te liście na pościel dla moich sierot, a te gałęzie będą dla nas opałem śród zimy, która się zbliża.

— Alboż nie masz innego sposobu przysposobienia opału?

— Niestety, Panie, mąż mój utrzymywał chatę; ale od dwóch miesięcy umarł i zostawił mię w takiej nędzy, iż nie mogę nawet dać na mszę za jego duszę.

»Rozśmiał się Książę, i rzucając staruszce garść złota, rzekł: »Masz oto na mszę i nie na jedną.«

»Odszedł, nie zważając na błogosławieństwa, któremi go biedna kobieta osypywała. Jednak krok jego był spokojnieszy, powietrze zdawało mu się lżejsze, myśli jego rozjaśniły się i w takim stanie wrócił do zamku.«

»Liczna służba miała rozkaz zachowywania największej cichości, kiedy Książę był zajęty pisaniem. Wieczorem tegoż dnia, kiedy w chwili największego natężenia pracy umysłowej, Książę podniósł strudzoną głowę, ujrzał wieśniaka, w zwykłym ubiorze, stojącego przy stoliku, na którym pisał.«

— »Co tu robisz? kto cię wpuścił? — krzyknął rozgniewany Książę i zawołał służących, ażeby ich zgromić za niedbalstwo.«

»Wszyscy oświadczyli, że nikogo wchodzącego nie widzieli; również niepodobna było odkryć, gdzie się podział zuchwały wieśniak, który gniew Księcia ściągnął.«

»Nazajutrz wziął się Książę do zwykłej roboty: lecz znowu został przerwany przez tegoż tajemniczego gościa.«

»Tym razem nie dzwonił na służących.«

»Na trzeci dzień, gdy usiadł do pisania swego ulubionego traktatu, miał znowu toż samo widzenie. Rzucił pióro, i zebrawszy wszystkie siły rozumu, przetarłszy oczy i przekonawszy się, że nie jest w złudzeniu, szedł prosto do stojącego wieśniaka.«

— »Ktokolwiek jesteś, — zawołał, — mów, po co przyszedłeś.«

— »Stój, — odpowiedziało widmo, — przychodzę oddać ci ważną usługę; jestem mężem tej biednej wdowy, którąś przedwczoraj hojnie obdarzył. Oswobodzony siłą modlitwy, uprosiłem, iżby mi wolno było wypłacić ci dług wdzięczności temi słowy: »»*Dusza jest nieśmiertelną.*««

»To rzekłszy, zniknął.«

»Książę L*** przywołał całą swą rodzinę i w oczach wszystkich podarł swój rękopis.«

»Te podarte karty dotąd istnieją, i jak skarb rodzinny z pokolenia do pokolenia przechodzą.«

Podziękowawszy Hrabinie za tę powieść, która warta, iżby się stała historyczną, gdyż zajmie nawet i tych, co zaprzeczając wszelkiego widomego pośrednictwa Opatrzności, muszą przynajmniej wyznać, że jenijusz *Salomona*, wśród natężonego poszukiwania dowodów materyjalizmu, przez własną swą czynność doprowadzony został do odkrycia prawdy, która mu się objawiła pod postacią widma, że: Dusza jest nieśmiertelna.

PRZYGODA PUŁKOWNIKA BOON, W LASACH KENTUCKY.

Daniel Boon, znany w Zjednoczonych Stanach południowej Ameryki pod imieniem Pułkownika Boon, jest może jedynym z białych Amerykanów, którzy przed wielu laty jeszcze wówczas dzikie, niewykarczowane okolice Kentucky zwiedził. Pewien podróżny, który odbył z nim polowanie, i nie jeden widział dowód zręczności jego w strzelaniu, wypytywał go o dawne wędrówki i nie jedno zajmujące otrzymał objaśnienie.

Boon był olbrzymiej postawy. Piersi miał szerokie; wszystkie jego członki wykrywały nadzwyczajną siłę. Wyraz jego twarzy, chociaż dziki, był jednak ujmujący, i zdradzał na pierwszy rzut oka jego odważny, przedsiębierczy, nieulękły charakter. Miał zwyczaj kłaść się spać nie rozebrany. Najulubieńszem jego posłaniem była goła ziemia. Gdy opowiadał swoje przygody, poznać można było z prostoty jego wyrazów, z całego jego ułożenia, że najszczerszą opowiada prawdę.

»Polowałem dnia pewnego w Green-River, — opowiadał. — Niższa część teraźniejszego Kentucku była jeszcze puszczą. Krajowcy byli jedynymi jej posiadaczami. My Wirgińczykowie przez niejaki czas ciągłą prowadziliśmy z nimi wojnę; ja sam nie raz wychodziłem na ściganie *skór czerwonych*, z równymże zapałem, jak dzisiaj na dziką zwierzynę.«

»Wówczas Indyjanie byli jednak wprawniejsi ode mnie, i podczas ciemnej nocy, kiedy się najmniej spodziewałem, zostałem od nich pojmany. Wybornie plan swój wykonali. Gdyż zaledwie zgasiłem ognisko i utuliłem się obwinąwszy w płaszcz, uczułem się przygnieciony i tak mocno związany, jak gdybym miał być prowadzony na stracenie.«

»Niepodobieństwo było stawić opór. Bez skargi, bez wyrzeczenia najmniejszego słowa, pozwoliłem się zatem zaprowadzić do ich obozu. O to się jedynie starałem, aby pokazać krajowcom, że oczekuję śmierci z równąż obojętnością, jak najmniej ulękły z ich wojowników.«

»W obozie przyjęto moich prowadzicieli z oznakami najżywszej radości. Dwie *Squaws* (kobiety) i kilku *Papuhs* (mężczyzn) odchodziło prawie od siebie, postrzegłszy mnie, dla tego zapewnie, iż mnie uważali za przyczynę śmierci nie jednego z ich krewnych. Z ich słów i pełnych wyrazu znaków, mogłem się domyślić, iż męczarnie moje najdalej do przyszłego poranku odroczone zostaną.«

»Na wszystko pozostałem zimny. Ani razu nie otworzyłem ust, szukałem tylko po głowie jakiego sposobu uniknienia przeznaczonego mi losu. Nie małe to było przedsięwzięcie. Kobiety obszukały mi kieszenie, i zabrały co znalazły. Szczęściem, miałem pełną flaszę wódki, na widok której powstał jednogłośny okrzyk radości.«

»Odzyskałem nieco nadziei. Można było przewidzieć, że dzicy się upiją. Rzucali się na ziemię, śpiewali i podawali sobie wzajemnie odurzający napój. Z całej duszy pragnąłem, iżby flasza mogła być dziesięć razy większą. Postrzegłem, że kobiety chciwiej daleko piły, niżeli mężczyzni, co mi zrazu nie bardzo było przyjemnie.«

»W tejże właśnie chwili dał się słyszeć zdaleka wystrzał. Mężczyzni pochwycili natychmiast oręże, i oddalili się zobaczyć, czy nie napadano na ich obóz. Kobiety usiadły i wychyliły flaszę aż do dna. Wkrótce wódka działać zaczęła, i zważałem, jak zasnęła jedna po drugiej.«

»Natychmiast postanowiłem wykonać ucieczkę, jedynym pozostałym mi sposóbem. Potoczyłem się do ognia, i starałem się przepalić krępujące mnie postronki, co mi się wreszcie udało. Gdym tego dokazał, przeciągnąłem się kilka razy, aby zdrętwiałym członkom nadać nieco giętkości, potem chwyciłem karabin, i z największym zacząłem uciekać pośpiechem.«

»Wkrótce dostałem się do rzeki. Pierwej jednak, nim ją wpław przebyłem, chciałem naznaczyć miejsce, do którego mnie przyprowadzili, i na ten koniec na pięknej młodej olszy trzy głębokie zrobiłem zacięcia. Przepłynąłem potem na drugi brzeg i ukryłem się w trzcinie, tak pospolitej w Kentucky, na sposób indyjski, aby żadnego nie mogli zwrócić śladu. I tak udało mi się ocalić.«

»Wiele lat upłynęło, nim wydarzyła mi się sposobność wynaleźć naznaczone przeze mnie drzewo. Nakoniec przybyłem znowu w tę samą okolicę. Z wielką trudnością znalazłem olszę. Urosła przez ten czas, a kora pokryła naznaczone miejsce.«

»Z tem wszystkiem zbyt znanem było mi to miejsce; wszystkie przedmioty widziane w czasie mojej przygody, zbyt utkwiły mi w pamięci, abym nie miał poznać miejsca, z którego wskoczyłem w rzekę. Ztamtąd na ślepo, lub instynktem raczej, poszedłem ku jednemu drzewu. Była-to olsza; lecz gruba i rosła, bez najmniejszego powierzchownego śladu nacięcia. Wiedziałem jednak teraz z pewnością, żem to, a nie inne naznaczył drzewo. Obłupałem kawał kory, i znalazłem wyraźnie na pniu trzy moje nacięcia.«

»Niezadługo po mojej przygodzie obrano to samo drzewo za znak graniczny posiadłości pewnego Wirgińczyka, który osiadł w Kentucky. Stało się ono później powodem procesu pomiędzy Wirgińczykiem a jego sąsiadem. Wezwano mnie jako świadka, ażebym udowodnił, czy to istotnie jest to samo drzewo, które w całej okolicy zwano *Olszą Pułkownika Boon.* Świadectwo moje przyczyniło się do rozstrzygnięcia tego granicznego procesu.«

CEDRY NA LIBANIE.

Sławne Libańskie cedry stoją na małem wzgórzu, w dolinie, u stóp najwyższej części gór; cała kraina w około najnieurodzajniejszy ma pozór, a drzewa dziwnym przypadkiem stoją wszystkie blizko siebie i tworzą niejako bukiet. Krajowcy zowią je *Arsileban.* Są-to właściwie dwa pokolenia drzew: starsze są niezmiernie wielkie i grube, cztery, pięć, a nawet po siedm wychodzące z jednego pnia. Wierzchołki ich do nadzwyczajnej wybiegają wysokości, i szeroko-olbrzymie rozciągają konary. Podobnych nie spotyka się nigdy po innych częściach Libanu, chociaż młode cedry tu i owdzie bywają rozrzucone. Najstarszych, tych które wiara uświęciła, i co są głównym przedmiotem ciekawości podróżujących, znaczna ubyła liczba w ostatnich trzech wiekach. Roku 1550 Belloni naliczył ich dwadzieścia i ośm; Rauwolf 1575 znalazł ich dwadzieścia cztery; Dandini roku 1600, a Thevent blizko piętnaście lat później, jeszcze ich widzieli dwadzieścia trzy, roku 1697 Maundrell już tylko szesnaście. Doktor Pocock roku 1738 zastał ich piętnaście, a z tych jeden świeżo obalony; Burckhardt roku 1810 naliczył ich już tylko jedenaście; dwadzieścia pięć innych było także bardzo wielkich, przeszło pięćdziesiąt średniej wielkości, a blizko trzysta zupełnie młodych i małych. Nakoniec roku 1818 Doktor Richardson opowiada, iż owych cedrów, *zaszczytu Libanu*, zaledwie znajduje się siedm. Bardzo do prawdy podobna, że za jakie sto lat ani ślad ich nie pozostanie, i przepowiednia Proroków co do słowa się z-iści.

MYŚL ENTUZYJASTY.

Träume? Schwärmer? — O glücklich wer noch hoffen und schöne Idealen schaffen kann!

Jako sprzeczny dzień jest z nocą,
Tak są sprzeczne myśli moje,
Choć je z całą duszy mocą
Zbieram, wiążę; próżne znoje!

Każda w inną bieży stronę,
Do innego zmierza celu,
Myślę, myślę, w myślach tonę,
I w nacisku myśli wielu,

Ledwie jedna choć zaświeci,
Zgodna z wielkim mym zamiarem,
W piersiach święty ogień wznieci,
W duszy wieszczym błyśnie żarem.

Myśli moja! ty w polocie
Przemkniesz szybko przedział świata,
Tam gdzie błyszczą gwiazd tych krocie,
Gdzie pobożnych dusza wzlata;

Tam cię olśnią słońc tysiące,
I ożywi bozkie tchnienie,
Ty jak nowe błyśniesz słońce,
Jasne wylejesz promienie.

I twój promień w ciemnym zmroku
Szybko w serce się przekradnie,
W każdem czułem błyśnie oku,
Wszystkie dusze wnet owładnie.

I jak słońce swem promieniem
Rodzi, krzepi, ziemi dzieci,
Tak rozgrzana twojem tchnieniem,
Dusza nowe myśli wznieci.

Ty jak berło w ręku mojem,
Ja przez ciebie panem będę,
Ty mą bronią — takim bojem
Ja serc cały świat zdobędę!

A. Przeszkodziński.
